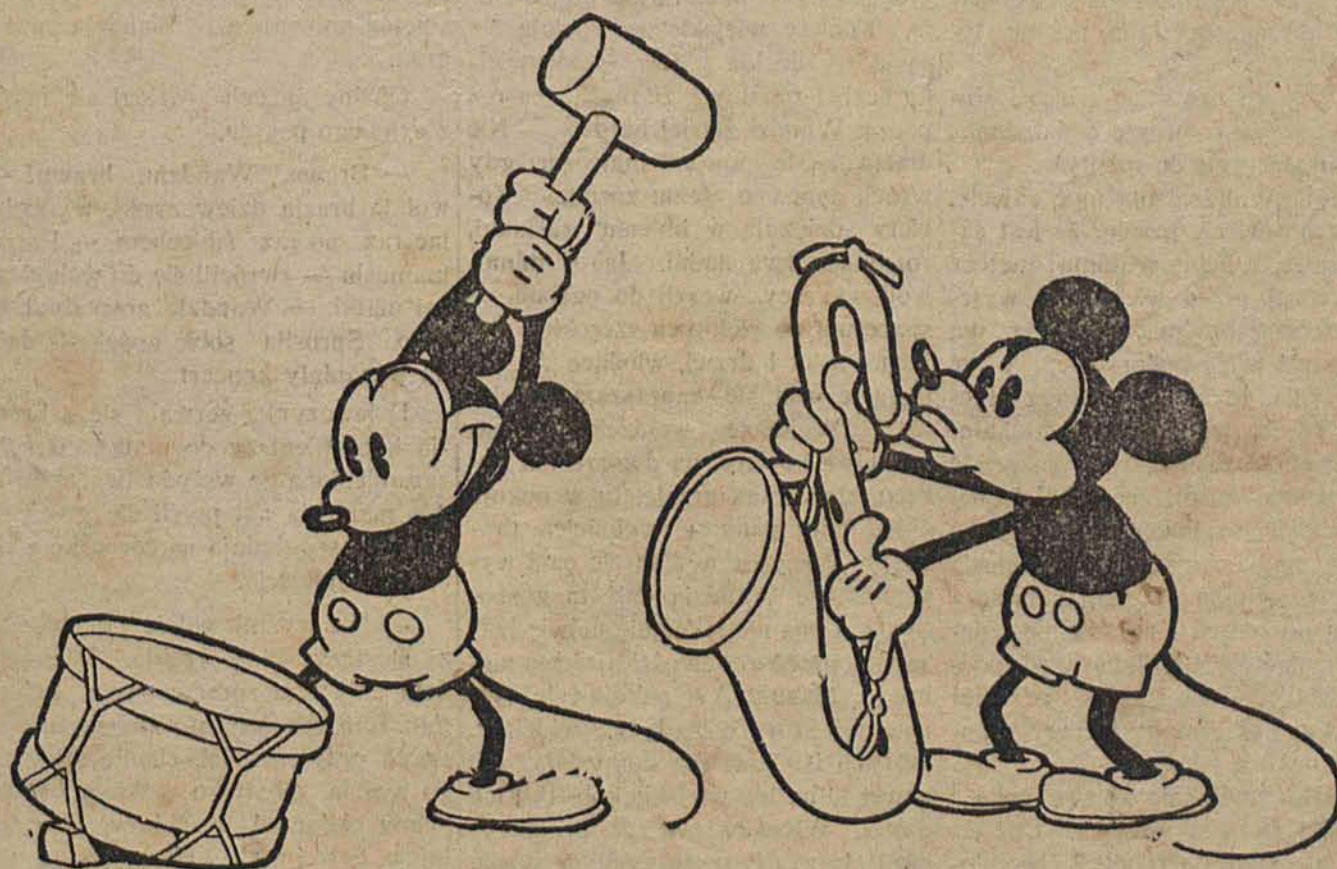


REPUBLIKA DZIECI

Tygodniowy dodatek „Republiki”.

Ilustrowane pismo DLA DZIECI I MŁODZIEŻY pod redakcją Jerzego Bilisa

POBUDKA!



Chcesz

przyjemnie spędzić wakacje letnie, brać udział w losowaniu cennych nagród i ujrzeć swą pracę, wydrukowaną w „Republice Dzieci”.

?

Przeczytaj

warunki drugiego wakacyjnego konkursu literackiego „Republiki Dzieci”, które podaliśmy w Nr. 24 (112) z d. 15 czerwca br.

!

Pobudka

wzywa Cię do pracy. Nie zwlekaj ani chwili.

!

KONCERT.

Wesołe promienie słońca ciekawie zajrzały przez okno i całować poczęły twarz Wandzi. Nie dobre słonko! Obudziło Wandeczkę, spokojnie śpiącą w swym białym łóżeczku. Ale dziewczynce nie chce się wstawać: taka cisza dokoła, tak przyjemnie jeszcze poleżeć trochę... — Wtem myśl jakaś przemknęła jej w głowie. Szybko wyskoczyła Wandzia z łóżka i po upływie pół godziny już ubrana, weszła do pokoju stołowego.

— Prędko, Antosiu — prosi służącą — prędko proszę o śniadanie, bo mam tyle, tyle do roboty!

O, tak Wandzia ma moc zajęcia. Bo wy nie wiecie pewno, że jest sama, samotna jedna w domu: mameczka wczoraj przed wieczorem wyjechała wraz z braćmi. Wandzia ma ją zastąpić w gospodarstwie. A być gospodynią, to nie lada praca przecież. Trzeba wydać starej Michałowej na obiad ze spiżarni, nakarmić drób, pomóc Antosi sprzątać i obetrzeć cacka w salonie, jak to czyni zwykle mama, bojąc się, by Antosia czego nie stłukła. Potem narwać z ogrodu porzeczek i agrestu do obiadu, nasypać ziarenek kanarkowi, podlać kwiatki, — no i lekcje odrobić! Doprawdy, aż strach bierze Wandzię, a mąż nie zdąży!

Szybko uwija się dziewczynka i ani widzi, jak czas upływa. Cóż jeszcze pozostało do roboty? Nic, doprawdy nie; wszystko już zrobione. Wandzia się dziwi, jak to prędko przeszło, nawet już i lekcje umie. Co teraz będzie robiła? Jest trzecia, a mama dopiero o piątej, a może i później jeszcze przyjedzie.

Może iść nad staw, przejechać się łódką? Myśl ta ogromnie nieci dziewczynkę. Ale nie! Wandzia wie przecież, że mameczka zabroniła jeździć samej łódką; wstyd nie posłuchać mamy szczególnie, gdy jej niema w domu. Waha się. Nie, nie! Wandzia już ani myśli o łódce. Ot, weź-

mie lepiej książkę i pójdzie do ogrodu.

Dziewczynka czytała już z kwadrans, gdy nagle ze wsi doleciał ją gwar głosów. „Musiało się coś stać”, pomyślała, idąc ku wsi. I... oto co widzi. Przy furcie dwie kobiety rozmawiają z żywością; obok stoi dwoje małych dzieci i starsza dziewczynka, trzymająca na rękach młodszego braciszka. Wandzia pyta, co się stało. Kobiety wiejskie opowiadają, że sąsiadce zdechła krowa, — żywicielka licznej rodziny i, że biedaczka rozpacza. Wandzi żel jej bardzo. — Nie martwcie się, powiem mameczce, gdy wróci, a pewno złemu zaradzi. Kobiety dziękują w imieniu sąsiadki, rozmowa trwa nadal. Jakoś mimowoli wszyscy weszli do ogrodu — spacerują po pięknych szerokich alejach. A ot i drzwi, wiodące do sali otwarte, zda się, zapraszają gościnnie: „Wejździe, wejździe, biedne, poczciwe kobiety, na dworze tak gorąco, słońce tak grzeje, tu w pokoju chłód miły panuje; wejździe, proszę!” Wszyscy wiedzą, że pani wyjechała, że Wandzia dziś tu gospodynią, a ona nie jakoś nie mówi; jakże się oprzeć ciekawości ujrzenia pięknego salonu? A w pokoju tyle, tyle rzeczy, których nigdy nie widziały, których istnienia nie domyślały się nawet te biedne wiejskie kobiety i ich dzieci. Wtem okrzyk zdumienia wyrwał się z ust dziewczynki w wieku Wandzi. Zaciekawili ją fortepian — te białe i czarne klawisze. Dotknęła jednego — słaby ale czysty dźwięk zabrzmiał w powietrzu.

— Co to? — pytają dzieci. — Co to, panienko?

Wandzię bawi ich zdumienie; bez namysłu siada do fortepianu i dźwięki starej piosenki napełniają pokój.

Dzieci z achwytu, aż usta otworzyły, najmłodsze z paluszkami w buzi tuli się do starszej siostry, a i kobiety rozjaśniły uśmiechem zafrasowane twarze. Wszyscy stoja oczarowa-

wani, zasluchani tak, że zapominają, gdzie są, z oczyma wlepionymi w grającą dziewczynkę, zda się boją się odetchnąć. A Wandzia czuje, że im sprawia przyjemność, i zdaje się jej, że nigdy nie cieszyła się tak, grając na fortepianie. I tak jej jakoś dobrze, tak słodko w duszy. Po piosence nastąpił marsz, potem znów rozbrzmiewają dźwięki poważnego poloneza, znów figlarny walczyk, smętna kolysanka... Wandzia gra i gra...

Głośny śmiech rozległ się nagle z drugiego pokoju.

— Brawo, Wandziu, brawo! — wołają bracia dziewczynki, wybuchając raz po raz śmiechem. — Patrz, mamusiu — zwrócili się do wchodzącej matki. — Wandzia gospodynią aż miło. Sprosiła sobie gości, — daje im wspaniały koncert.

Dziewczynka zerwała się z krzesła i, podbiegłszy do matki, ukryła zarumienioną ze wstydu twarzyczkę. Ale mamusia ani myśli się gniewać, oczy jej spoglądają na córeczkę z dobrocią i miłością.

— Nie wyśmiewajcie się chłopcy z siostrzyczki — rzekła. Wandzia dała dziś tym spracowanym kobietom, tym dzieciom, nie znającym wazszych przyjemności, chwilę szczerogo wesela. Nietylko datkiem powinniśmy obdarzać biedaków. Pamiętajcie, dzieci moje, nie każdy może jałmużnę dawać innym, ale każdy ma obowiązek starać się biednym braciom naszym rzucić promyk słońca na ich trudami i kłopotami uznożoną drogę. Takim promykem jest nieraz słowo, płynące z serca, pełnego miłości. Takim promykem dla tych wieśniaków była dzisiaj muzyka Wandzi.

— Mamo — zawołała dziewczynka. — czułam to, ale nie potrafiłabym powiedzieć słowami. Wiem tylko, że tak mi było jakoś dobrze, tak wesoło w duszy...

Brzydka królewna.

BAJKA.

Smutek w państwie pięknej królowej Naufilei rozpostarł swe skrzydła. W pałacu królowa rozpacziała, król łamał ręce, a dygnitarze i damy dworu chodzili z przerażeniem twarzami.

Przyczyną smutku i rozpacz wszystkich była maleńka królewna Imja. Leżała na pachowej pościeli w bogatej złotej kołysce, którą otaczało grono dworzan, przypatrujących się brzydkiej królewnie. Zwolano wszystkich czarnoksiężników z kraju, aby małą następczynię tronu uczynili ładną. Nie pomogły żadne zabiegi czarodziejskie. Królewna z dnia na dzień brzydła.

Mijały lata, królewna Imja chodziła dumna i napuszczona po komnatach pałacu, szcycąc się swem bogactwem i „pięknością”. Uważała się bowiem za piękną, gdyż nie widziała jeszcze odłticia swej twarzy w zwierciadle, bo z rozkazu króla wszystkie usunęto. Królewna nie była dobrą. Grymasiła i dokuczwała wszystkim, a gdy nie czyniono załoś jej zachciankom, wpadała w tak straszną złość, że tłukła wszystkie przedmioty. Pewnego razu wybiegła do pięknego parku, otaczającego pałac i usiadła nad modremi wodami stawu, gdzie pływaly śnieżno-białe łabędzie. Pochyliła się królewna nad wodą i w przejrzystej jak lustro tafli ujrziała własne odbicie.

— Czy to ja jestem? krzyknęła zdziwiona.

— Taka brzydka to ja, królewna Imja, dziedziczka pięknego królestwa — myślała zrozpaczona i rozpłakała się, a łabędzie, podływając, ubolewały nad nią.

— Nie płacz królewno — rzekł jeden z nich. Idź w świat szukać przyczyny swej brzydoty.

Usłuchała rady łabędzie i poszła brzydka królewna w świat daleki.

Szła długo, długo, aż doszła do państwa złotego Słońca.

— Powiedz mi, Słońce, dlaczego ja jestem brzydka — zapytała. Ale Słońce odburknęło:

— Nie zwracaj mi głowy. Muszę ludziom świecić do pracy i obrzucać ziemię memi złotymi promieniami a na takie pytania nie mam czasu odpowiadać.

Idź do księżycy.

I poszła królewna Imja do państwa srebrnego i zimnego Księżycy, a gdy stanęła przed majestatem, spytała:

— Powiedz mi Księżycu, dlaczego jestem brzydka.

A na to księżyc:

— Idź sobie do gwiazdek pytać

o to, a mnie daj spokój. Czyż nie widzisz, że wysyłam moje promyki na ziemię, aby ją oświetlały w nocy.

Wyszła Imja z pałacu księżycy i zobaczyła dużo świecących gwiazdek, które mrugały do siebie i goniły się po ciemnym sklepieniu niebieskimi.

— Chodź lepiej bawić się z nami — zapraszały grzecznie.

— Nie mogę — odparła. Idę szukać przyczyny mej brzydoty. Może wy wiecie, dlaczego jestem tak brzydka!

— Idź do państwa Płomienia — rzekła jedna gwiazdeczka, może on ci odpowie na tak trudne pytanie.

Po tych słowach zamrugała srebrnym swem oczkiem i goniła się dalej z towarzyszkami.

Królewna Imja zaczęła schodzić z wolna po mlecznej drodze, trzęsąc się z zimna, ale szła dalej wytrwale. Przystawała tylko od czasu do czasu aby odpocząć trochę. Złtował się nad nią Wiatr i zabrał ją na swoje wielkie skrzydła.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Do króla Płomienia. Rzuciłam ojca, matkę, całe królestwo i chodzę po świecie, szukając dla siebie odrobiny piękności.

— Rzuciłaś ojca i matkę? — zdziwił się Wiatr.

— Tak — odparła, rumieniąc się.

— To musisz być bardzo próżna i zła — dodał.

Milczała. Po raz pierwszy zażenowała się rodzicami, którzy byli dla niej tak dobrzy i rozumiali, co to znaczy miłość rodzicielska.

Usłuszny wiatr postawił ją na ziemi i odleciał.

Królewna pozostała sama przed wielkim płonącym ogniskiem. Mali czerwoni ludzkowie uwijali się dookoła, podtrzymując jego żar i jasność.

— Co to jest? — zapytała Imja.

— To ognisko pracy — jakiś głos jej odpowiedział.

— POCO pracować? — zapytała powtórnie.

— Każdy musi pracować w miarę swych sił. Dorzuc i ty szczapę drzewa do ogniska.

Obejrzała się naokoło, ale nigdzie nie zobaczyła przygotowanego paliwa. Ludzkowie roześmiali się głośno.

— Poszukaj, inaczej do państwa nie wejdziesz!

Zapisała się królewna w głąb pobliskiego lasu i szukała wytrwale. Schylała się po najmniejszą gałązkę, aby po jakimś czasie dorzucić w święty ogień pracy nazbierane przez siebie paliwo.

— Dobrze — orzekli ludzkowie —

możesz teraz wejść do zamku króla Płomienia.

Gdy podeszła bliżej z czerwonego ognia poczęły się wylaniać baszty i mury ogromne. I królewna Imja zrozumiała po raz pierwszy, co znaczy praca. Weszła do zamku. Kroki jej po śliskiej posadzce odbijały się echem w pustych salach.

W pewnej chwili usłyszała słabe brzęczenie muszki, zaplątanej w cienką sieć pajęczą.

— Uwolnij mnie — prosiła.

Królewna oswobodziła małego więźnia, który radośnie wyfrunął za okno. Patrzac za oddalającą się muszką, królewna Imja uśmiechnęła się z zadowolenia, gdyż uczuła, że zrobiła po raz pierwszy dobry uczynek. Idąc dalej, natrafiła wreszcie na komnatę, gdzie siedział na tronie wielki król Płomień, do niego więc królewna zwróciła się z zapytaniem, czy wie, dlaczego ona jest tak brzydka.

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć — rzekł król.

— Udaj się z tem po wyjaśnienie do wróżki pięknej Zorzy.

Po tych słowach klasnął w ręce, na który to znak zjawił się skrzydłaty smok, mający zanieść królewnę do wróżki Zorzy. Jechała Imja dzień i noc a gdy srebrne gwiazdy zniknęły na niebie, zabiysła ciudna promienna Zorza.

I szła wyniośle, z rozpuszczonymi włosami, siejąc wokoło siebie złote blaski.

Królewna Imja zeszła ze skrzydłatego smoka i pochyliła się do kolan cudnej pani.

— O powiedz mi Zorzo, dlaczego jestem brzydka!

— Przebiegłam cały świat, by dowiedzieć się od kogoś przyczyny mej brzydoty, lecz nikt nie umiał mi na to odpowiedzieć. I tzy potoczyły się w tej chwili po jej twarzy, a zamieniwszy się w perły, upadły do stóp Zorzy.

Widząc to piękna wróżka ułtowała się nad królewną i tak mówić zaczęła:

— Widzisz moja kochana, serce twoje już od zarania życia było złe, ciągle kaprysiłaś, dokuczalaś, nigdy nic dobrego nikomu nie zrobiłaś, dlatego też jesteś brzydka. Widząc cię jednak skruszoną, postaram się dopomóc ci i oto daję ci wskazówkę: Powróć do rodziców i swego państwa i staraj się naprawić wszystko złe, które tam uczyniłaś. W miarę tego, jak będziesz czynić dobrze, wracać ci będzie uroda.

Po tych słowach odeszła Zorza. Królewna Imja patrzyła długi

Wierni przyjaciele u lwiej jamy.

1.
Była raz bardzo pracowita mrówka. Pracowała po całych dniach i zamiast wieczorem iść na spoczynek, szła jeszcze na pole, żeby dla swej dojrzałej krówki zielonej paszy przynieść. Dojnymi zaś krówkami mrówek są mszyce; jak bowiem ludzie trzymają krowę, której mleko piją, tak i mrówki trzymają mszyce, których słodki sok oblizują i ssą. Obciążona badyłkiem, który pewnie sześć razy większy był od niej, wracała właśnie do domu, gdy spotkała chrząszcza - grabarza, swego znajomego, który właśnie co tylko mysz pogrzebał.

Przyłączyła się do nich biedronka która wyleciała sobie na spacer, żeby w polu napić się kropelki rosy, a ponieważ wszyscy troje dość blisko siebie na skraju lasu mieszkali, więc postanowili razem powracać. Było bardzo ciemno wśród wysokiej trawy i wielce obciążona mrówka co chwila natykała się na jakąś przeszkodę. To kamyk, to znów trudne do przebycia liście stawały się przyczyną, że musieli dość daleko kołować, obchodząc je, przez co bardzo powoli szła im droga. — „Gdyby tak nie było ciemno“, — westchnęła mrówka. Zaledwie te słowa wyrzekała, dało się widzieć jakieś światło. Zrazu unosiło się ono ponad szczytami trawek ale potem się opuściło wprost na ich drogę. Gdy się

czas na odchodzącą Zorzę, dopóki jej złote i purpurowe blaski nie zniknęły, a na niebie wysunęło się promienne słońce wskazując jej drogę do królestwa jej rodziców.

Królowa po powrocie do swego państwa zupełnie się odmieniła. Zajął się pilnie biednymi i chorymi, a gdzie słyszała płacz, tam zjawiała się niosąc pociechę.

Jaką dobrą mamy teraz królową! — wołał lud, cisząc się do niej, gdy tylko w złocistej karecie pojawiała się za murami zamku.

Brzydka królowa czuła się szczęśliwa, gdyż dobre uczynki dawały jej większe zadowolenie niż uroda. Po codziennej pracy zasypiała spokojnie z usmiechem na ustach, nie myśląc wcale o swej brzydocie. Aż pewnego ranka, gdy królowa spała, zjawiała się Zorza i całując ją swymi promieniami, szepnęła:

„Bądź odtąd piękna i nieś ze sobą szczęście“!

I stało się tak, jak Zorza powiedziała.

Wisła Słupczyńska.

do nich zbliżyło, poznały świętojańskiego robaczka. „Przychodzisz jak na zawołanie „światlika“, wykrzyknęli radośnie wędrowcy: jeżeli nie masz nic ważniejszego do roboty i idziesz w naszą drogę, to mógłbyś nam trochę przyświecić“.

„Bardzo chętnie“, odpowiedział uprzejmy światełko. „Dziś właśnie wstawiłem sobie nową świeczkę w latarnicę i chciałem spróbować, jak też będzie świeciła. Zresztą nie mam żadnych zajęć i mogę wam towarzyszyć do domu. Ale czemu tak późno tedy idziecie?“

„Przy tak dużym gospodarstwie, jak nasze, zawsze jest coś do roboty“, rzekła mrówka.

„Dzień i noc niema spoczynku. To w domu trzeba coś poprawić, to żywność przechować. A do tego jeszcze wychowanie dzieci. Siły odchodzą od ciągłej pracy, a ja musiałem jeszcze tak późno iść w pole po paszę dla naszej krowy.“

Podczas gdy każdy z zapóźnionych wędrowców opowiadał co go z domu wywiodło, coś zaszumiało, niby burza po lesie trawnym. Oto jaszczurka zaszleściła pod listkami. „Zgaś swą latarkę“, zawołała biedronka na światełko, „żeby nas potwór nie spostrzegł“. Szybko skrył światełko swą latarkę. Przytem podczołgali się wszyscy pod krzewiną mchu. Jaszczurka przeszła tuż około nich, ale na szczęście nie spostrzegła ukrytych wędrowców. Tylko biedronka, wychyliwszy się trochę zawczasem z pod mchu, dostała końcem ogona potwora takie uderzenie że wywróciwszy koziolka, padła dość daleko na murawę. Ale dzięki

mocnemu pokryciu skrzydeł, nie poniosła innej szkody nad to, że na wznak upadła i dopóty się gramoliła, aż jej przyjaciele dopomogli stanąć na nogi. Trwało to dość długo, zanim ochłonać mogła z przestraszenia. Szczególniej mrówkę strach tak na wskroś przejął, że badyłek swój musiała na chwilę złożyć, zanim iść dalej była w stanie. Nareszcie wyruszyli w dalszą drogę.

„Świat jednak musi być duży“, zauważyła mrówka, że takie wlotczyki jak jaszczurki, mogą się na nim pomieścić“.

„Mój dziadek, który często podróżywał po świecie, a przytem był uczonym „chrząszczem“, podniosła głos biedronka, „zawsze mówił, że są jeszcze daleko większe zwierzęta. Ja wprawdzie nie widziałam jeszcze żadnego bo też mam wzrok bardzo krótki i jest też wiele rzeczy na świecie, których nie znam“.

Przytakiwał jej grabarz bardzo zgodnie, bo chociaż i on podobnie był krótkowidzem, ale miał nos tak czuły, że bardzo daleko zwąchał już nieżywego ptaka, więc się też uważał za mędrze stworzenie od biedronki. Zaczął tedy opowiadać, co wiedział o świecie i jego cudach i nie wielkie sobie rzeczy robił z wróbla albo myszy; niejedno już bowiem z tych obrzymich zwierząt pogrzebał.

„Moje domowe zatrudnienia nie pozwalają mi wielu rzeczy badać“, rzekła mrówka: ale przysłuchuję się jednak chętnie, gdy uczeni ludzie mówią a ci wiedzą dobrze, jak wszystko w świecie wygląda“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z w ó z k u.

Pochmurzało na niebie...
A tu kopa na kopie!
Dalej chłopcy! za konie!
I po snopy! w galopie!

Zakurzyło na drodze,
Jak pod owiec gromada...
To parobcy do stodół
Ze snopami w cwał jada!

Przedem Kuba — siwkami...
Wyladował półtorak
Na trzy warstwy pod pawęz,
Kiej dwór jaki! kiej czworak!

Pali z bata! wio siwe!
Ze aż ziemia oddaje!
Na bok! z drogi! uykaj.
Bo kolami przekraje!

Zadudniło klepisko...
Wóz się wtoczył w rozpędzie...
Kuba strzępnał lejcami —
Pyta: „Siła tam będzie?“

— „Dwa dwadzieścia“, Trzy...
cztery...
Sześć dwadzieścia! półkopy...
Ujął widły i śmiga!
Po dwa czasem wraz snopy!

Jak się dobrze przysadzi
To o belkę uderzy...
To też Kaśka z zapola
Cięgiem zęby doń szczyrzy.
El.

Jaś i Staś

czyli

historja o dwuch łobuzach w pięciu figlach.

FIGIEL CZWARTY.



Chłopcy w jedną z nich wpadają,
Całi w mące się nurzają;
Wyszli z niej, lecz z wielką biedą,
Jakby ubieleni kredą,
Gdy się dobrze rozglądają,
Różne ciasta spostrzegają —
Pachną im obwarzanecki,
Więc po krzesło do półeczki,
Stare krzesło się rozpada,
Každy z nich do niecki wpada,
Ciastem grubo oblepieni
Stoją chłopcy przerażeni.
Aż tu naraz piekarz wbiega,
Bryły ciasta te spostrzega.

Już Wielkanoc niedaleko,
Więc w piekarniach ciasto pieka —
Babki różne lukrowane
I mazurki przekładane.
Chłopcy ślinę też lykają
Pod piekarnię się skradają,
Piekarz, widząc, co się święci,
Dobrze kluczem w zamku kręci.
Więc złodzieje znów na dach
I przez komin — chociaż strach —
Spuścili się do piekarni,
Chociaż z sadzy całkiem czarni
A że blisko przy kominie
Stały z mąką wielkie skrzynie.



Na stolnicy je walkuje,
Miałkim cukrem posypuje.
A że piec już bucha żarem,
Żywo pędzi z tym ciężarem,
Wyjął je już upieczone
I prześlicznie zrumienione.
Już po chłopcach! Každy płacze,
(W nich się jeszcze duch kołacze),
Chrup! chrup! niby małe szczury,
Wygryzają w cieście dziury.
Piekarz lamentuje srodze,
Ale chłopcy już są w drodze.

(Dok. nastąpi).

Dalsza przygoda Joségo

(Dokończenie autorskie Jasia Murkesa)

Trzeci dalszy ciąg.

W przepiękny dzień widzimy dwu kominowy okręt ze złocistym, rażąco - błyszczącym w słońcu napisem: „Susquehanna”. Sunął on szybko, pozostawiając po sobie długą, śnieżnobiałą, igrającą przezroczystymi kropelkami, smugę. „Susquehanna” już 9-ty dzień była w drodze, a zawsze wśród tych samych warunków atmosferycznych. Pogoda sprzyjała i tymczasem nic nie zapowiadało jej zmiany. Po przepłynięciu Suezu zaczęły się mniej pomyślne dni. Już koło Adenu sternik musiał dobrze uważać, aby nie wpaść na znajdujące się tam skały, o które wiele statków się porozbijało.

Zaczęto opływać Somali. Było wtedy mgliście, wietrzno i dżysto, przez co jazda była utrudniona i zwolniona. W pobliżu Zanzibaru zatelegrafowano do tego miasta, zwiastując przybycie. Już pierw rząd amerykański prosił o pomoc w razie czego dla Nilsona i o pozwolenie wylądowania na terytorjach angielskich. Zgodzono się chętnie. Po kilkudniowym pobycie w Zanzibarze, Jerzy postanowił przelecieć nad kotliną Konga na „Victorji”.

O świcie startowano, ku zdumieniu większej części obecnych tu tubylców. Do wyprawy należeli: Jerzy Nilson Jose i dwaj lotnicy. Przelatywali oni najprzód nad uprawnymi polami, później nad płaszczynami porośniętymi rozmałą trawą. Wreszcie ukazały się puszcze. Pod samolotem kwiały się badyłe trawy i czubki drzew. Gęstwina była tak wielka, że pomimo zniżania i zwalniania lotu, prawie nigdzie nie można było ujrzeć wnętrza leśnego i podszycia z trawy i krzaków. Płynięto po błękitach, aż do drugiego krańca Afryki — Kabindy, faktorji Europejskiej. Przez ten czas „Susquehanna” z „JWL 18” miała opłynąć Afrykę, naokoło Przylądka Dobrej Nadziei. Tam „Victorja” miała czekać na okręt, a później już razem odplłynąć.

Jerzy zrobił I-szy lot naprzelaj Afryki, przez Kongo. Obaj podróżnicy siedzieli przy okienku i skrzętnie notowali swe spostrzeżenia. — Wkrótce nabrano na wioskę murzyńska. Było jakieś święto, gdyż murzyni grali na piszczałkach i waliłi w bębny, tworząc ogłuszający hałas. Murzyni zauważyli „Victorie” i z przestrachem widocznie schowali się do mieszkań, później z lancami i łukami ukazałi się na nowo. „Victorji” jednak nie było. Później zauważono murzynki, kręcące się po

polach uprawnych. Wtem Jerzy rzekł do Joségo: „Uważaj, zaraz będziemy przejeżdżać nad jeziorem Targanijką. Jakoż po paru minutach ujrano to jezioro. Było ono pierwsze od kilku godzin jazdy. Powierzchnia była szklista, oślepiająca oczy, przez odbicie promieni słonecznych. Przy brzegach były liczne flotyle krajowców. Nilson mówił dalej: „Teraz będziemy przelatywać nad rzeką Szakunga, później skęcimy na północ i zobaczymy Kongo, w pobliżu którego lecieć będziemy. Oto masz szkła, przez które będziesz mógł swobodnie patrzeć na rzekę”. Tak zabezpieczeni, obaj żywo rozmawiali i notowali twagi. Przed oczami podróżnych widniał przez pewien czas jednostajny krajobraz. Wreszcie Jerzy odezwał się: „Skęcimy na Kongo, czyli Lisalabę; pierwszym większym miasteczkiem na prawo będzie Njangwe miejscowość, z której wyruszał Livinston i Henryk Morton Stanley. Tam kupy zanzibarscy wymordowali murzynów, stamtąd wiedzie droga naokoło kotliny Konga. Miejscowość ta musi pozostać w historii odkryć wnętrza Afryki, które doniedawna stosunkowo, było Antraktydą afrykańską, białą plamą na żółtem tle, która raziła oczy Europejczyków i Amerykanów, oraz możliwością zdobycia sławy i odkryć pociągała ku sobie odważnych podróżników”.

Pod „Victorj” falowały spokojnie potężne wody Lualaby, II-giej co do wielkości po Nilu (dług. Konga — 4640 km.) rzecę i I-ej co do wielkości dorzecza. Czasem zobaczyć można było łódź z czarnym wioslarzem. Zdała zaczęły się zarysowywać kontury jakiegoś miasteczka. Było to Kongo. Już przy końcu tego miasteczka woda zaczęła się burzyć. Z samolotu zobaczyć można było zdaleka wodospad. Masy wód spadające rozbiły się o skały i wyrzucały tańczę i igrające w słońcu jasne, błyskotliwe kropelki.

W samolocie słycać było szum wód: nie zagłuszył go nawet turkot i warkot propeleru. Podróżni wyobrażali sobie hałas jaki słyszeć muszą ludzie znajdujący się u podnóża wodospadu. Wkrótce rzeka zaczęła się harmonijnie układać i cicho płynęła dalej w przestrzenie. Wtem zdaleka ukazała się smuga dymu. Ponieważ żadnej osady nie było widać, Jose zdziwił się początkowo, lecz spojrzawszy na mapę rzekł: „To kolej”. Po niedługim czasie sa-

molot dogonił lokomotywę, wiozącą 4 wagony osobwe i kilkanaście towarowych. „Co też ci pasażerowie robią tutaj?” — pomyślał Jose. Za 20 minut „Victorja” przelatywała nad Njangwe. Obaj podróżnicy z zaciękawieniem przyglądali się temu miasteczku. „Tu był Livinston i Stanley” — myślał Jerzy. „Może stąd wyruszyła z tego placu, wyprawa tych wielkich podróżników” — myślał Jose.

„Czyby tak nie można było dostać piwa?” — myślał lotnik. Jerzy chciałby wylądować tu, lecz nie było po pierwsze placu odpowiedniego, a po drugie trzeba było przelecieć wszystko bez przystanków. I minięto Njangwe. Teraz należało przebyć właściwą część drogi: Kongo Belgijskie. Wjeżdżano w królestwo słoni. Tu zniżono się i zwolniono lot, chcąc wszystko lepiej zobaczyć. Po pewnym czasie przefruwano nad rzeką Lomačni. Naokoło jak okiem sięgnąć, była puszcza. Tu i ówdzie polanki latały jakgdyby puszcze, gdzie indziej rzeka przerzynała gęstwiny. Przejeżdżano nad wioską murzyńską. Podróżnicy zauważyli, że na palach wbite były czaszki ludzkie, trofea wojenne. Przez wioskę przechodzili wojownicy z tarczami wymalowanymi z lancami i wielkimi piórami na głowach, murzyni „cywilni” o kwadratowych głowach, wreszcie tatuowani i ohydnie wyglądający murzyńscy czarodzieje i zaklinacze deszczów. Jose zauważył ruch wojenny murzynów, którzy na widok „wielkiego ptaka” pochwycili za broń i zaczęli go ostrzeliwać. Polecono lotnikowi wznieść się nieco wyżej, a Jose i Jerzy śmiali się szczerze z wojowniczych barbarzyńców, z króla, który trzęsąc gwałtownie obrzymiem berłem, wydawał jakieś rozkazy gestykulując żywo. Parę wypuszczonych strzał nie dosięgło samolotu i spadło na dół. Wioska barbarzyńców znikła pod horyzontem. „Victorja” poszybowała dalej. „Byli to chyba ludźcy” — zauważył Jose — „mieliby z nas smaczną potrawkę”. „Rzeczywiście” — odparł Jerzy — „byłby mile przez nas widziani, gdyby nie ta kuracja”. — Teraz zaczęły się pokazywać stonie. Pojedynczo lub grupkami. Raz — jeden słoń raz — dwa raz parka ze słońtikiem. Spotykano także inne zwierzęta. W jeziorach kapał się hippopotam, na drzewach uwijały się szympanse i goryle. Na wielkich polanach, savannach niemal, zapel-

„Jak będzie wyglądał świat, gdy będziemy dorośli?”

...Gdy wy, moi mali współczelnicy (czki) będziecie zupełnie dorośli, a ja... jeszcze „doroślejsza”, mam wrażenie, a raczej wyczucie, iż wówczas mniej więcej (świat będzie oczywista w większych i bogatszych ośrodkach) następująco wyglądał:

(Wezmę jako przykład jedno typowe miasto — przyszłości, miasto pojęte, jako cząsteczka świata).

Primo: nie będzie wówczas już miast — będą „miastolasy”.

Jak rzucisz okiem — będą rozsiane tu i ówdzie białe domy i domki o prostej, równoległej do podstawy budowie, tonące w zieleni i kwiatkach.

Nawet bloki fabryk będą w lasach lub ogrodach; opodal będą kolonje robotnicze, urzędnicze itp. Na każde parenaście metrów będą sztuczne i naturalne rzeki, wodotryski.

Latem da to chłód, sport; zimą estetyczny widok, ślizgawki i saneczki. Nie będzie trzeba już się wybierać do pracy, lub na zimowe rozrywki, jakby na drugi kraniec świata: cewiza miast-przyszłości będzie: wszystkie możliwe zdobycze techniki i kultury... *kolo domu!*

Dużo słońca, światła, mało gratów i kurzu!

Sądzę, że domy będą z betonu lub czegoś podobnego — jedno lub maksimum dwupiętrowe — białe.

Jest dużo wolnej przestrzeni, a obecnie rodziny liczenie nie powiększają się, tak, że zmieścimy się... Cały front ze szkła grubego. Dachy szklane. Zimą podczas burz przykryje się dachy takie ruchomą da-

chówką z odpowiedniego materiału. Zimą będą rury neonowe rozświetlały wnętrza. Ubikacje i łazienki muszą mieć okna dla wentylacji. Centralne ogrzewanie — latem będzie wentylować mieszkanie. Dla ochłody będą sztuczne deszcze z igieł sosnowych; w domu sztuczne kąpiele lecznicze dla uboższej sfery. Zimą będą w każdym mieszkaniu sztuczne promienie świetlne i... kwiaty będą kwitnąć.

Będą koleżki: na zimę podziemne (tam ciepło), a na lato prócz codziennego środka lokomocji — samolotów, otwarte letnie pociągi i tramwaje, pełne zieleni z ruchomymi gumowymi szafasami na zawieruchy. Pożywienie do konsumentów będzie nadchodziło siłą elektryczną do okien i pałacz, jak ptaszek. Charakterystycznym dla danej epoki będzie silny pęd do natury przy równoczesnym rozwoju techniki i kultury.

Zyjąc zimą i latem w czterech ścianach domu wśród zieleni i kwiatów, jedząc dużo nabiału — dzieci będą nam zdrowo rosły i my... będziemy może zdrowsi i lepsi... My — wówczas stare pokolenie!

Co do architektury wewnątrz zapamiętaj istną rewolucja: będzie demokratyzacja mieszkań. Ołbrzymie jednolizbowe, lub 2-izbowe mieszkania. Jeden pokój będzie spełniał po-

czwórne zadanie: sypialni stołowego, gabinetu i salonu. Poszczególne części pokoju w miarę potrzeby będą oddzielane ruchomymi żaluzjami z iluminikami.

Zadnych firanek (mleczne szyby), zadnych poduszek, kózek — precz z pluskami (pardon!).

Łóżka z niku i płótna, lub gobelinu; poduszki z... powietrza (tak, tak!). Wogóle mało mebli, zato dużo powietrza!

Szafy w ścianach, kuchnie w ścianach itp. Wszystko w kuchni mechanicznym sposobem bez... „łap”...

Prawdopodobnie (przynajmniej latem) będziemy chodzić na pół nago; jest to nader higieniczne.

≡

Wierzę, wierzę mocno, iż to wszystko o czem obecnie pisze, jest możliwe do wykonania, i wierzę gorąco, iż w niedalekiej przyszłości mniej więcej tak będzie na świecie wyglądać i to nie tylko w pałacach, lecz również na „poddaszach”.

Wierzę, iż wszystko jest możliwe, wierzę nawet w „czwarty wymiar” (to będzie epoka następna — po „szklanej epoce”) — lecz w jedno dziś uwierzyć nie mogę — nie wierzę by były na to... pieniądze.

Mózgi i ręce będą naprężone!!!

„Wesola pesymistka”.

Wiadomości z lotnictwa

Lot w stratosferze.

Dzień 26 maja 1931 roku jest datą nowego tryumfu lotnictwa. W dniu tym profesorowie Piccard i Kipfer na balonie własnego pomysłu wzniesli się na wysokość 16.000 mtr. a więc osiągnęli t. zw. stratosferę, bijąc o około 3.000 mtr. ówczesny rekord wysokości osiągnięty na samolocie. Profesorom jednak nie chodziło wcale o pobicie rekordu: odbyli ten lot w nieznanie zupełnie warunkach, narażając się wielokrotnie na śmierć, głównie w tym celu ażeby przeprowadzić pomiary promieni kosmicznych. Choć cen ten z lotnictwem nie niema wspólnego dobrane jednak, że stał się powodem do tak wspaniałego wyczynu. Balon na którym wzniesli się śmiały aeronauci był typu kulistego o objętości 14000 m³. Na ziemi wypełniony był jednak w niecałej piątej części, gdyż gdyby był naplnięty całkowicie to na tej wysokości jaką osiągnięto, pękłby z powodu zmniejszonego ciśnienia zewnętrznego. Gondola wykonana z aluminium kształtu kulistego o średnicy około 2 mtr. posiadała akurat tyle pojemności ażeby pomieścić dwie osoby i instrumenty.

Nie trzeba chyba wspominać, że kabina musiała być zupełnie szczelnie izolowaną od zewnętrznej atmosfery gdyż w przeciwnym razie ciśnienie powietrza wewnątrz zrównałoby się z zewnętrznym i podróżnicy udusiliby się. A na tej wysokości ciśnienie zewnętrzne wynosiło zaledwie 1/10 tego co na ziemi. Temperatura zaś kilkadziesiąt stopni mrozu. Start balonu odbył się w Augsburgu o godz. 4 nad ranem i po 17 godzinach lotu wylądowano szczęśliwie na lodowcu w górach austriackiego Tyrolu. Spostrzeżenia, które prof. Piccard poczynił będą miały wielkie znaczenie przy opracowywaniu warunków lotu samolotów w stratosferze, tym idealnym środowisku dla lotów na dalskie dystanse.

Drugą wyprawę podejmuje prof. Piccard w sierpniu b. r.

Odwrócić!

niających przejście od jednej puszczy do drugiej, biegły nosorożce, antylopy różnych rodzajów, kozły, zebry i czasem dziwne zwierzęta nowo odkryte, gnu, okapi lub kwanga, podobne do konia, żyrafy słonie, mściwe bawoły, gazelle, a na wybrzeżach krokodyły. Czasem było widać kopce termitów. Przychodziły tu lwy na łowy specjalne, z ciepłych swoich legowisk na skałach, w pobliżu oaz, będących na krańcach Sahary. Towarzyszyły im jak zwykle hieny, czasem szakale, które pożerały resztki z uczt króla zwierząt. Gdzieś tam gdzie trawa była wysoka, że słoń się w niej ukrywał. W tych warunkach polowanie było łatwe dla lwa, gdyż ukrywał się wybornie przed zwierzęcą, na którą polował. Jerzy i Jose oniemieli poprostu widząc takie rojowisko zwierząt i chwalili zapamiętałą przyrodę. Zauważyli wiele rzeczy, o których dotąd biali nie mieli pojęcia.

(Dokończenie nastąpi).



Do autorów Rozrywek. Nadsyłane prace należy pisać po jednej stronie kartki, u dołu podawać rozwiązanie, nadto na każdej kartce umieszczać imię, nazwisko i adres.

Redakcja nie udziela odpowiedzi na pytania dotyczące się oceny rozrywek, lub terminu ich umieszczania.

Do rozwiązyjących: Rozwiązanie „Rozrywek Umysłowych” należy pisać na osobnej kartce. Każda kartka musi mieć u góry imię, nazwisko i adres rozwiązującego.

PRZESUWANKA.

Przestawcie litery tak, by środkowe litery wyrazów, czytane pionowo z góry na dół dały rozwiązanie.

N Y R U K H A
K A K A T E R R
R A S E R A K
K I N W Ł O S
K A S K O L A
K A R Z B R U
N Ó W W I L A
N I R A M C O
C Z Y R O J K E
J A D K O M E
C Z A K A R T
K O M A R O K
W A R Y K O P
W A W A R Z Y
S I E P O L E
C Z Y K K O L Y
N Y J A R Z Y
M I K A R N Y
K A P A S I E
C E P S T O Ł
N E K R A B A
T Y W A K R A
D A W Y K R A
S N I K K R A
M I K I K R A
T Y K O B I E
K I K O L E B I
K I K O R N I
K A W A L I Z
Z Y R A K T U
B I N R A K A
K Ó W R O Z O
Z E N T R P E
S Z W E J A C
C Z E Ń P I E
R Z Y S C K O

Kupon Nr. 20 „REPUBLIKI DZIECI“

Serja II.

Rok 1932.

Wyciąć i scnować.

LOGOGRYF.

Z następujących sylab ułożyć 10 wyrazów o podanym znaczeniu, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Pies.
2. Staroświecka rzecz.
3. Miasto we Włoszech.
4. Słynny śpiewak.
5. Uzdrowisko.
6. Imię Orzeszkowej.
7. Owoce.
8. Wielki deszcz.
9. Kraj w Europie.
10. Badacz ciał niebieskich.

Sylaby:

an nłk ne kie jam pol pu
a tyk i e no ra claw li za
wro po ki u ziom le ru wa
stro ja a nom mun.

Rozwiązania nadsyłać można do czwartku, dnia 28 lipca br.

Za prawidłowe rozwiązanie powyższych rozrywek Redakcja przewiduje trzy nagrody.

#

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie Rozrywek Umysłowych „Republiki Dzieci” drogą losowania otrzymali:

1. *Irka Konecka* — ul. Zacisze 6 — książkę.
2. *Michał Skowronek* — ul. Miel czarskiego 17 — grę towarzyską.
3. *Heniek Pawłowski* — ul. Piotrkowska 19 — ćwierć kg. czekolady.

#

Nagrody odebrać można w Redakcji „Republiki Dzieci” — Piotrkowska 49, w czwartek, dnia 21-go lipca b. r. między godz. 5—6 po poł.

#

ROZWIĄZANIE

ROZRYWEK UMYSŁOWYCH
z Nr. 27 (115) „Republiki Dzieci”.
Logogryf. Łącz przyjemne z pożytecznym.

ŻARCIKI.

— Mamusiu! mamusiu! — woła Adaś — tam w dużym naczyniu z mlekiem widziałem mysz.

— I cóż, synku, wyrzuciłeś ją stamtąd?

— Nie mameczko, bo się bałem — ale wrzuciłem tam kota.

#

Mały Zbyszek jest bardzo posłusznym dzieckiem.

Pewnego dnia, mama przeglądając kieszenie Zbysia, znalazła chusteczkę, a na niej trzy węzłki.

— Zbysku, — mówi mama, — pamiętaj, trzeba te węzłki rozwiązać?

— Dobrze mamusiu — odpowiada Zbyszek i robi czwarty węzełek dla pamięci.

#

Zosienko, czy lubisz czekoladę? — pyta mały Stefek.

— Bardzo — odpowiada Zosia. — Tak! — no to ja dam moją paczkę czekolady do schowania komu innemu.

#

Jędrus widzi w kuchni na stole dużego karpia, który z braku wody otwiera szeroko pysk.

— Mamusiu — woła — mamusiu, powiedz Marysi, żeby położyła rybę spać bo tak ziewa!

Psotny Buruś.

Buruś, wielkie nic dobrego,
Zawsze psocił od małego.
Znali kotka w całym domu
Bo coś wiecznie zbroił komu.

Kiedyś w lecie pan dobrodziej
Po ogrodzie sobie chodzi,
Wacha kwiatki, wacha trawkę,
Wreszcie wdrapał się na ławkę.

Siedział Buruś w słońcu blasku,
Aż wtem pelza coś po piasku,
Jakiś robak dziwny taki, —
Czekaj! dam ci się we znaki!

Wnet cię schwytam mości panie,
I dam kurkom na śniadanie,
Tak pomyślał Buruś szary
I już spełnia swe zamlary.

Wtem: jak wrzaśnie: gwałtu!
rety!

Oj, ratunku! ach, niestety!
Robak w kleszcze złapał łapkę
I pan urwis wpadł w pułapkę!

Po żalostnej tej przygodzie
Kot nie chodzi po ogrodzie,
A gdy ujrzy gdzie robaka,
Miaucząc daje wnet drapaka.

Or-Or.